

14. Wezwanie do Londynu

14. Wezwanie do Londynu

Po około roku czasu głoszenia w Waterbeach, byłem wielokrotnie zapraszany do różnych miejsc na doroczne uroczystości i inne specjalne posługi. Wiele razy doświadczałem dziwnych rzeczy. Jednym z najbardziej ekscentrycznych ludzi, jakich poznałem, był Potto Brown - młynarz z Hought. Poprosił mnie, abym przyszedł i wygłosił kazanie w jego kaplicy i tak od sobotniego wieczoru do poniedziałkowego poranka znalazłem się w szczęśliwej niedoli bycia jego gościem - nie znajduję innego wyrażenia na to, aby opisać dziwną mieszankę uczuć, jakie miałem pod jego dachem. Nie wydarzyło się nic szczególnego tej pierwszej nocy. Ale rano, gdy schodziłem po schodach pan Brown powiedział do mnie: „Zawsze robimy dwa jajka na śniadanie dla kaznodziei w niedzielę rano. Fosfor w nich zawarty odżywia mózg i wygląda na to, że dostaniesz dzisiaj dużo mentalnego pokarmu.” Nic mu nie odpowiedziałem na ten komentarz, bo uznałem, że lepiej poczekać na swój czas.

Tego dnia odbyły się trzy nabożeństwa. Pan Brown wygłosił kazanie rano, sąsiedni kaznodzieja głosił po południu, a wieczorem przyszła kolej na mnie. Po tym jak w końcu wróciliśmy do domu pana Browna i zjedliśmy naszą kolację, gospodarz domu odchylił się w swoim fotelu, zamknął oczy, złączył czubki palców i zaczął mówić do siebie na głos: „O Panie, dziękujemy Ci za ten wspaniały dzień! Rano, Panie, Twój niegodny sługa został dopuszczony i będzie miał prawo mówić w Twoim imieniu z pewną dozą szczerości i ma nadzieję, że również on zostanie przyjęty z pewną dozą

chętnego przyjęcia przez słuchaczy.“ Po południu zacny brat głosił dobrą, zdrową, rozsądną ewangelię - kazanie - nic błyskotliwego, ale z pewnością mogło być przydatne. Potem otworzył oczy, spojrzał na mnie i rozpoczął rozmowę, która, jeśli dobrze pamiętam, przebiegała mniej więcej tak:

Brown: „Młody człowieku, kto ci powiedział, że ty potrafisz głosić kazania?”

Spurgeon: „Wierzę, że Pan powołał mnie do tej pracy, a spotkałem już wielu ludzi, którzy myślą podobnie.”

B.: „Jak długo jesteś kaznodzieją?”

S.: „Trochę więcej niż dwanaście miesięcy”.

B.: „Ile dusz uratowałeś w ciągu ostatniego roku?”

S.: „Żadnej”.

B.: „Żadnej? Byłeś pastorem przez dwanaście miesięcy i nie uratowałeś żadnej duszy? Powinieneś wstydzić się do tego przyznać. Poza tym, jeśli głosiłeś te same doktryny, co dziś wieczorem, to nie powinienem się dziwić, że żadna dusza nie została zbawiona.”

S.: „Nie powiedziałem, że żadna dusza nie została zbawiona. Ja tylko powiedziałem, że ja nikogo nie

zbawiłem. Jednak z przyjemnością mogę powiedzieć, że Pan użył mnie, aby uratować niektórych."

B.: „Większość z waszych braci powiedziałaaby: Użył mnie niegodnego”.

Ale mówiąc to i tak byliby tak dumni jak Lucyfer. Ale to jest tak powszechne wśród kaznodziejów. Dobrze wiedziałeś, co miałem na myśli. No to, ile się w końcu nawróciło?"

S.: „Chyba dwadzieścia jeden osób”.

B.: „Jak często głosiłeś kazania?"

S.: „Trzy razy w niedzielę, raz w tygodniu w Waterbeach i prawie każdy wieczór przez resztę tygodnia gdzie indziej”.

B.: „Policzmy tylko niedzielne poranne i niedzielne wieczorne kazania. W popołudniowych nabożeństwach nie da się nikogo uratować, ludzie są po prostu zbyt śpiący po obiedzie. Załóżmy, że było sto cztery nabożeństwa i dwadzieścia jeden zbawionych dusz. Oznacza to, że osiemdziesiąt trzy kazania były daremne! Tak, można nawet powiedzieć, że sto trzy były na próżno, bo dwadzieścia jeden dusz mogło się uratować na jednym nabożeństwie. Czy mieszkasz w Waterbeach?"

S.: „Nie, mieszkam w Cambridge, gdzie uczę w szkole”.

B.: „O, właśnie dlatego! Jesteś tylko praktykantem, który dopiero próbuje swoich sił. Twoja służba jest czymś w rodzaju dodatkowego zajęcia, które wykonuje się od czasu do czasu. Jaką zapłatę otrzymujesz od ludzi?"

S.: „45 funtów rocznie”.

B.: „To wszystko wyjaśnia! Żadna dusza nie może być zbawiona za mniej niż 100 funtów rocznie. Oczywiście, sprawdza się to tylko tam, gdzie ludzie mogą sobie na to pozwolić, a jednak to wystarczy dla kaznodziei. A teraz, mój młody przyjacielu, pozwól, że udzielę ci pewnej rady: Nigdy nie będziesz dobrym kaznodzieją, więc zrezygnuj z tego i trzymaj się swojej pracy jako nauczyciel”.

W późniejszych latach, kiedy przypominałem mu jego rady i jego przepowiednie mawiał: „Nikt nie wie, kim człowiek może się stać, jeśli zostawisz mu trochę czasu na zmiany. Bez wątplenia ta moja ostra mowa zachęciła cię, by zebrać wszystkie swoje siły.” Tak rzeczywiście było, tylko w inny sposób niż on sam miał to na myśli.

Kolejna wyjątkowa osoba, którą poznałem podczas mojego pierwszego okresu służby

był stary pan Sutton z Cottenham. On nigdy mnie nie widział, ale słyszał, że jestem znanym młodym kaznodzieją, więc zaprosił mnie, abym wygłosił kazanie na jego dorocznym święcie. Tego ranka byłem w zakrystii kaplicy, kiedy wszedł starszy pan. Był bardzo zdziwiony, gdy zorientował się, że jestem jeszcze tak młody. Po tym jak wymieniliśmy kilka chłodnych powitalnych słów, powiedział:

„Nie prosiłbym cię o przyjazd tutaj, gdybym wiedział, że jesteś jeszcze tak młody. Ludzie przyjeżdżają tu od rana. Przyjeżdżają powozami, wozami z osiołkami i w najróżniejszy sposób. Wielka banda głupców” - dodał.

„Cóż...” - powiedziałem - "zawsze mogę wrócić do Waterbeach. Jestem pewien, że moi ludzie będą bardzo zadowoleni z mojego powrotu."

„Nie, nie." - powiedział stary pastor - „Teraz jesteś tutaj, więc musisz zrobić wszystko, co w twojej mocy. Jest tu jeszcze jeden młody przyjaciel z Cambridge, który ci pomoże; nie możemy od ciebie za wiele oczekiwać." Kiedy otworzył drzwi do sali, gdzie się zgromadzali, zamamrotał pod nosem: „Dobry Boże! Jak daleko ma zejść ten świat, skoro mamy dzieci jako kaznodziei, które nawet nie przełknęły mleka matki!"

Nadszedł mój czas. Podeszedłem do kazalnicy, mijając po drodze starego pastora, który siedział na jej schodach - przypuszczalnie gotowy, aby w każdej chwili kontynuować usługę, jeśli ja nie dałbym rady. Po modlitwie i śpiewie, przeczytałem z Księgi Przysłów rozdział zawierający słowa: „Wspaniałą koroną jest siwizna, dochodzi się do niej na drodze sprawiedliwości.” Kiedy doczytałem do tego momentu, przerwałem i powiedziałem: „Wątpię. Wątpię, bo dziś rano spotkałam mężczyznę z siwymi włosami, który nie wiedział nawet, jak być uprzejmym dla swoich bliźnich." Potem kontynuowałem czytanie:

„Na drodze sprawiedliwości dochodzi się do niej – aha...”- powiedziałem - „to zupełnie coś innego. Siwy włos jest wtedy honorową koroną na głowie, jeśli zdobyło się ją na drodze sprawiedliwości. Dotyczy to również włosów rudych i wszystkich innych kolorów." Kontynuowałem kazanie dając z siebie wszystko. Potem, gdy schodziłem z kazalnicy, pan Sutton poklepał mnie po ramieniu i oświadczył: „To było świetne! Jestem kaznodzieją od prawie czterdziestu lat i nigdy nie cieszyłem się tak bardzo z kazania. Ale ty jesteś najbardziej kłasiczącym psem, jaki kiedykolwiek szczekał z kazalnicy." W drodze do domu przechodził pan Sutton przez ulicę podchodząc do małych grup ludzi dyskutujących o kazaniu. Usłyszałem, jak mówił: „W całym moim życiu nie przeżyłem czegoś podobnego. Kiedy pomyślę, jak niemiło go potraktowałem!" Mieliliśmy dobry czas razem, Pan pobłogosławił kazanie i od tego czasu pan Sutton i ja jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi.

W ostatni niedzielny poranek listopada 1853 roku, byłem jak zwykle w drodze z Cambridge do Waterbeach, by tam stanąć za kazalnica w Kaplicy baptystów. To była wiejska droga, która miała dobrych pięć czy sześć mil i którą zwykle pokonywałem pieszo. Byłem już prawie gotowy do wejścia na kazalnicę, gdy wręczono mi list ze stemplem pocztowym z Londynu. To był niezwykle list. Otworzyłem go od razu i przeczytałem zaproszenie do wygłoszenia kazania w kaplicy przy New Park Street, Southwark, na kazalnicy Dr. Rippona, który niedawno zmarł, a jego śpiewnik leżał przede mną na stole. Po cichu podałem list z powrotem przez stół diakonowi, który mi go wręczył i powiedziałem mu, że jest on z pewnością zaadresowany do innego pana Spurgeona, który kiedyś głosił gdzieś w hrabstwie Norfolk. Potrząsnął głową i powiedział, że obawia się, że to nie jest błąd. Mówił, że zawsze wiedział, że jego pastor w końcu ucieknie do jednego lub drugiego z większych zgromadzeń. Jednakże, był on trochę zdziwiony, że londyńczycy tak szybko o mnie usłyszeli.

„Gdyby to było Cottenham, albo St.Ives, albo Huntingdon." – powiedział - „Nie byłbym zaskoczony. Wyjazd do Londynu to duży krok od tej małej wioski". Potrząsnął głową. Ale teraz nadszedł czas, aby wybrać pieśni, więc list został odłożony na bok i o ile pamiętam, został na ten dzień zapomniany.

Po jakimś czasie przyszedł drugi list, potwierdzający raz jeszcze, że pierwszy list został napisany z pełną świadomością młodego wiekiem kaznodziei, który był przeznaczony właśnie dla niego i tylko dla niego. Prośba zawarta w pierwszym liście została ponowiona i potwierdzona, zasugerowano datę podróży do Londynu i wskazano miejsce, gdzie kaznodzieja miał nocować.

Przyjąłem to zaproszenie i tak się stało, że młody kaznodzieja z Marschland pojechał do Londynu. Pamiętam, jakby to było wczoraj, kiedy nocowałem w pensjonacie na Queen Square, Bloomsbury, do którego pokierował mnie szanowny diakon. Ponieważ miałem na sobie koszulę z dużym czarnym satynowym kołnierzem i używałem niebieskiej chusteczki w białe kropki, dziwili się bardzo młodzi panowie w pensjonacie przyglądając się wiejskiemu młodzieńcowi, który przybył do Londynu, aby głosić kazania, który był, jak to się mówiło, jeszcze "zółtodziobem".

Młodzi panowie należeli do Kościoła Anglikańskiego i bawiło ich to bardzo, że taki wiejski chłopak jak ja, jest kaznodzieją. Nie mieli zamiaru iść i słuchać tego wiejskiego chłopaka, ale zdawało się, że na swój sposób próbowali mnie zachęcić. I jeszcze jak mnie zachęcali! Jakie historie opowiadali o tej wielkiej duchowej metropolii i ich zgromadzeniach! Jeden z nich, jeśli dobrze pamiętam, miał tysiąc miejskich słuchaczy, którzy go zawsze słuchali; kościół innego był wypełniony inteligencją; trzeci, swoją elokwencją porwał ogromną publiczność, która składała się prawie w całości z młodych mężczyzn z Londynu. Przygotowania tych mężczyzn potrzebne do ich kazań, wymagały niebywałych umiejętności, które oni musieli posiadać, aby mogli prowadzić takie spotkania o niezliczonej liczbie publiczności, którą gromadzili przy każdej okazji. Wszystkie te rzeczy utkwily mi mocno w pamięci. Potem, kiedy pokazano mi moje łóżko w pokoju, które miało rozmiary szafy, wiszące nad drzwiami wejściowymi. Znalazłem się w stanie, który nie zapowiadał przyjemnych snów. Już nigdy więcej New Park Street nie ugościł młodego kaznodziei w tym wynajętym daleko pokoju. Z pewnością ta sobotnia noc w londyńskim pensjonacie miała największy nacisk, jaką można było nałożyć na mój umysł. W mojej samotnej nędzy rzucałem się i obracałem na wąskim łóżku nie znajdując od nikogo żadnego współczucia. Och- szkoda, że na zewnątrz na ulicy słyszeć było nieustanny odgłos wozów konnych. Ulica, bez litości przypominająca mi młodych mieszczan, którzy okrutnie i z rozbawieniem patrzyli na moje nieokrzesane zachowanie. Bezlitosne gazowe latarnie, których migoczące światło w mroku grudnia zdawało się wskazywać na mnie palcami. W tym całym mieście pełnym ludzi nie miałem ani jednego przyjaciela, czułem się jakbym był wśród obcych ludzi. Miałem nadzieję, że wydostanę się z tej pułapki, w którą wpadłem i ucieknę na bezpieczną ziemię Cambridge i Waterbeach, która teraz wydawał się być jak ogród Eden.

Niedzielnny poranek był pogodny i zimny. Szedłem przez Holborn Hill do Blackfriars, a następnie przez kilka krętych uliczek i alejek do mostu Southwark. Szedłem drżący, zastanawiając się, modląc się, z nadzieją, z wiarą, - czułem się samotny, a jednak nie byłem sam. Oczekiwałem na Bożą pomoc, wewnętrznie powalony, koniecznie potrzebowałem Jego pomocy. Szedłem przez kamienistą pustynię, aż znalazłem miejsce, gdzie miałem głosić swoje przesłanie. Po głowie chodził mi ciągle ten sam werset i nie bardzo wiedziałam dlaczego: „*Ale musiał przechodzić przez Samarię*”. Taka konieczność, którą nasz Pan znał, mianowicie, aby iść w pewnym kierunku, powtarza się również w przypadku jego sług. A skoro ja sam nie wybrałem swojej podróży, ani w żaden sposób mi się ona nie podobala, przynajmniej do tej pory, ale ta jedna myśl - „*ale musiał*” zdawała się unieważniać wszystkie inne.

Kiedy zobaczyłem przed sobą kaplicę przy New Park Street, przez chwilę byłem chwilowo zaskoczony moją własną odwagą. W moich oczach kaplica była ogromną, bogato zdobioną i imponującą budowlą, która zdawała się sugerować bogatą i krytyczną publiczność, zupełnie inną niż ci prości ludzie, dla których moja posługa była słodka i dobra.

Byłem tam bardzo wcześnie, nikt jeszcze nie wchodził do środka i nawet gdy nadszedł wyznaczony czas,

nie było śladu tego, na co wskazywał mi wygląd zewnętrzny budynku. Miałem wrażenie, że z Bożą pomocą nie będzie to moje tutaj ostatnie zobowiązanie.

Pan pomógł mi bardzo łaskawie, miałem wiele radości w tę niedzielę za kazalnicą, a czas między nabożeństwami spędziłem w gronie serdecznych przyjaciół. Potem wieczorem, gdy wolno szedłem z powrotem do mojej ciasnej kwatery na Queen Square, nie byłem już sam, a londyńczycy nie byli już dla mnie barbarzyńcami o twardym sercu. Zmieniło się całe moje nastawienie. Nie chciałem już współczucia.

Nie chciałem już żadnego współczucia. Obejrzałem lwa z każdej strony i nie wydawał mi się nawet w jednej dziesiątej tym, czym myślałem, gdy usłyszałem jego ryk w oddali.

Przyjaciół, który tego wieczoru towarzyszył Spurgeonowi w powrocie do pensjonatu, był Joseph Passmore. Tego wieczoru nawiązała się między nimi przyjaźń i współpraca na całe życie, zarówno w kościele, jak i w publikacji dzieł Spurgeona.